

małocodirze

c-150/iv

ZIELONA GÓRA 29 VI 1986 — 12 VII 1986 R.
ROK XXX NR 13 [618] CENA 15 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



Fot. TOMASZ GAWALKIEWICZ

Gość XXII FPR — radziecka piosenkarka MARJU LIANIK.

O POLSCE myśleć

Na IX Nadzwyczajnym Zjeździe partii został opracowany konkretny i wszechstronny program socjalistycznej odnowy naszego życia społeczno-politycznego i gospodarczego. Partia wyciągnęła wnioski ze słusznego protestu klasy robotniczej i z mozołem rozpoczęła realizację swego programu, który w rzeczywistości jest programem całego realnie myśiącego społeczeństwa.

Obecnie nadszedł czas wnikliwego rozpatrzenia, z jakimi efektami urzeczywistniło to, co zaplanowano, co zdołano zrobić, a co jeszcze stanowi naszą największą troskę. W jakiej kondycji będziemy wchodzić w XXI wiek. Na stan tej kondycji składa się zarówno jednostkowe doświadczenie, jak i zbiorowa narodowa świadomość. Świadomość celów i zagrożeń.

W przeddzień X Zjazdu PZPR — kontynuując długą dyskusję o naszych problemach — zwróciliśmy się do ludzi nauki, kultury i sztuki z obu łubskich województw z prośbą o wypowiedzi i refleksje na te tematy im najbliższe a ważkie ze społecznego punktu widzenia. Dziękujemy tym, którzy zechcieli skorzystać z naszego zaproszenia.

ANTONI BANIUKIEWICZ

— reżyser, dyrektor Teatru im. J. Osterwy w Gorzowie

Przeczytałem niedawno w „Polityce”, iż do teatru chodzi w Polsce średnio 14 proc. obywateli. Podobnie jest z widownią na koncertach symfonicznych, wystawach plastycznych, w muzeach. Narzeka się na spadek frekwencji w kinach i czytelnictwa. Dostępnym dla nas telewizją, której lekkostrawną papką zaspokajają większość potrzeb kulturalnych przeciętnego Polaka.

Zmiana to struktury życia kulturalnego kraju czy w ogóle kryzys kultury? Jeśli ludzie niezbyt tłumnie chodzą do teatru, to winę można — i pewnie choć w części trzeba — przypisać samemu teatrowi. Ze podejmuje nie te problemy, które widza interesują, że robi to w sposób staroświecki, nie nadążając za aktualną wrażliwością odbiorcy. Ale jeśli pusto jest na dobrze wykonanych koncertach Bacha, to czy przyczyn szukać trzeba wyłącznie w zbyt małej reklamie filharmonii?

Niepokojąco — choć jest to zapewne zjawisko nie tylko polskie — zmieniają się społeczne potrzeby kulturalne, po części według zasady, iż gorszy towar wypiera lepszy. Przyczyn tego szukać należy także daleko poza samą sferą kultury. W psychologii społecznej, ekonomii, polityce, wielkich procesach socjologicznych zachodzących w Polsce i na świecie. Ale jak w tym wszystkim mają zachować się artyści czy ludzie odpowiedzialni za upowszechnienie kultury i sztuki?

Pytanie szczególnie istotne w wypadku niewielkich ośrodków miejskich, gdzie widownia jest z natury rzeczy zawsze ograniczona. A są przecież takie miasta, w których likwidacja teatru, orkiestry symfonicznej czy muzeum pozostawiałyby prawie nie zauważoną przez publiczność. Trudno efektywnie pracować mając w podświadomości tę prawdę. Ale też trudno zdobyć czykolwiek uznanie pracując na granicy przyzwoitości. Dialog z odbiorcą może zacząć się dopiero od momentu wyraźnego przekroczenia tej granicy. Dlatego, mimo wszystkich przeszkód, nie zwolnijmy — myślę — ani nie usprawiedliwimy środowisk kulturowych z ich braku ambicji, aktywności, nawet agresywności. Ostatecznie niekiedy niektórym coś się udaje. Można by to wyeksplikować na przykładach takich czy innych teatrów, które za jakiejś dyrekcji przeżywają swój okresowy rozkwit. I nie musi być to wcale metropolia, jak świadczy historia Koszalin, Zielonej Góry czy Kalisza.

Fakt to, dosyć przygnębiający, że instytucje kulturalne czują się dziś bardziej niż kiedykolwiek osamotnione. Mimo wspaniałych aktów prawnych najwyższej rangi, mimo Narodowej Rady Kultury czy Narodowego Funduszu Rozwoju Kultury. Praktyka administracyjna wyraźnie nie zgadza się z teorią, co wzbudza nieufność wobec prawodawcy i poczucie zawodu środowisk twórczych, świadomość wymanewrowania kultury na margines życia społecznego. Kuriozalnym przykładem jest tu sprawa PFAZ-u, z którego instytucje kulturalne zwolnione zostały ustawą sejmową, a który wobec tego zaistniał pod inną nazwą. A i to zaistniał fikcyjnie, na papierze, bo z góry było wiadomo, że nie będzie z czego go płacić.

Niejedną lokalną administrację widząc tak ukształtowany stosunek między mecenatem państwowym a ludźmi kultury może ulec pokusie ustalenia podobnego modelu na swym własnym podwórku. A wówczas teatr czy filharmonia znajdują się bez mieszkań, bez środków na remonty, czy na transport, o które coraz częściej trzeba zwracać się — nawet wbrew stanowi prawnemu — właśnie do władz lokalnych. Bywają tu na szczęście także przykłady chlubne, gdy miasto lub województwo troskliwie dbają o swe zasoby kulturalne, gdy świadczą swym instytucjom daleko idącą pomoc. Łatwo wyczuć tę atmosferę troskliwości, życzliwości, potrzebnej niekiedy wyrozumiałości. I nieczym nie usprawiedliwiony byłby teatr, gdyby z warunków takich nie skorzystał, gdyby nie stał się one dla niego czynnikiem wysoce mobilizującym. Wobec — czy też mimo trudności występujących na wyższych piętach — szansy rozwoju kultury regionalnej należy szukać przede wszystkim w samym regionie, na styku ludzi i tworzących i miejscowych instytucji oraz miejscowego mecenasa — czy będzie to administracja państwowa, czy miejscowe zakłady pracy. Sojusz taki może szybko i obficie zapoczątkować. Lata bowiem muszą minąć, by powstał nowy zakład przemysłowy, który w skali ogólnopolskiej przysporzy rozłosał swemu miastu, podczas gdy inwestowanie w kulturę może okazać się owoce niewspółmiernie szybciej. Wystarczy, by doinwestowana orkiestra odbyła liczące

Zmiany w krajobrazie

Alfred Slatecki

Przed rokiem 1980 nikt nie śmiał skrytykować „sojuszu świata pracy z kulturą i sztuką”. Po roku 1980 już nikt nie przypominał tego hasła. Obecnie wraca ono do języka propagandowego, choć tak naprawdę przykładów owego sojuszu niewiele. Latwiej jest wymieniać te fabryki, które po wprowadzeniu zasad reformy gospodarczej pozbyły się domów kultury, świetlic, bibliotek, kin niż te utrzymujące zakładowe przybytki kultury. Gdyby nie budżet państwa, Dębno, Kostrzyn, Słubice, Myślibórz, Międzyrzecz, Międzybóże, Sułecina, a więc większe ośrodki miejskie w Gorzowskim, byłyby pozabawione jakiegokolwiek placówek kultury.

MISTRZ GOSPODARNOŚCI

W 15-tysięcznym Choszcznie nie ma wielkich zakładów pracy. Nie było i nie ma wielkich placówek kultury. To niewielkie miasto ma jednak wielkie osiągnięcia. W 1984 r. zdobyło tytuł Wice-Mistrza Gospodarności, a w 1985 — tytuł Mistrza Gospodarności. W 1984 r. Przewodniczący Rady Państwa udekorował Choszczan Krzyżem Komandorskim

Orderu Odrodzenia Polski, m.in. za bogatą działalność kulturalną. Choszczno jest rzadkim przykładem dobrze rozumianej pracy społecznej. Obliczono, że w 1984 r. każdy choszczanin wykonał czynny społeczny za 2328 zł, w 1985 — 2015 zł. W tym mieście obecnie realizuje się 12 inwestycji o wartości ponad 1 mln zł, oczywiście mowa tu tylko o wyłączeniu o tych obiektach, które buduje się za pieniądze zakładów pracy i mieszkańców. Nie spotkałem w Choszcznie człowieka, który by powiedział, że Choszczno nie jest potrzebne oświecenie uliczne, większa szkoła, hala gimnastyczna, basen, przedszkole. Nie spotkałem też człowieka, który by nie chciał pomóc miastu. Tu ludzie powiadają, że robią dla siebie. Naczelnik miasta i gminy przypomina sobie, że tylko raz prosił architekta, aby społecznie pełnił obowiązki kierownika budowy. Gdy wieść się rozniósł, przyszedł do naczelnika elektryk i powiedział, że za darmo chce coś zrobić. A potem rzemieślnicy, robotnicy, kierownicy wyprzedzali się w podejmowaniu czynów.

Naczelnik przypomina sobie, że pojechał na zebranie wiejskie i tylko raz zachęcał mieszkańców. Zwierzytnia, by sami zbudowali wodociąg. Dziś w Zwierzytniu wielka świetlica, na ukończeniu budowa remizy strażackiej. Przykładem zaradczą się inne wsie. W gminie Choszczno całkowicie rozwiązano problem telefonów. Radun, Stary Klukom, Pałec, Kołki i Zwierzytnia mają wodociąg.

gł. Budowy świetlic kończą mieszkańcy Ślęcina i Kolków, w Sulinie niebawem będzie świetlica i nowy sklep. Państwowe gospodarstwa rolne remontują pałace w Stradzie i Korytowie. W Kolkach PGR i chłopcy powołali społeczny komitet budowy domu kultury. Spółdzielnia produkcyjna w Rzecku i PGR w Smoleńcu dofinansowują działalność miejscowych klubów. Aż 4,4 mln zł rady sołeckie przeznaczyły na imprezy kulturalne, amatorskie sekcje żelazne resorów, zakup sprzętu do klubów. Za te pieniądze można było zbudować drogę, basen przeciwpożarowy, przystanek autobusowy, można też było przeznaczyć je na zakup maszyn rolniczych. Ale chłopcy myślą inaczej, rozumieją, że młodzież, by pozostała na wsi, musi mieć swoje miejsca wypoczynku.

W 1983 r. po długoletnim remoncie kapitalnym oddano do użytku największy w Gorzowskim dom kultury. Jest w nim olbrzymia sala widowiskowa, kawiarnia, sala baletowa, pracownia, studio nagrań, sale ekspozycyjne. Przy okazji zbudowano, co jest zupełną nowością w resorcie kultury, 4 mieszkania funkcyjne dla pracowników. Dziś Choszczno nie odczuwa braku wysoko kwalifikowanej kadry, żaden z instruktorów nie chce wyjechać do Gorzowa czy Szczecina. Przede wszystkim Choszczanieński Dom Kultury służy mieszkańcom bez względu na wiek, miejsce pracy, wykształcenie. Po 3 latach intensywnej eksploatacji ściany czyste, bo azerie lśniące, fotele całe, podłogi wypastowane. Przed i wokół domu klomby, kwietniki, drzewa.

Sa w Choszcznie i inne placówki, nie wielkie, zakładowe. Kolejarze mają swój dom kultury w starym baraku. Spółdzielnia mieszkaniowa finansuje klub osiedla-

ciąg dalszy na str. 2

(ciąg dalszy na str. 3, 4, 5)

O POLSCE myśląc

się tournée koncertowe, czy teatr zdobył się na premierę ściągającą recenzentów z Warszawy.

Osiągnięcie takiego poziomu artystycznego staje się coraz trudniejsze. Nie przypadkiem w teatrze polskim brak w ostatnich latach wielkich przedstawień, festiwale tracą swą atrakcyjność, by jako tako zorganizować repertuarowo Go rżowskie Spotkania Teatralne, trzeba się dobrze nabiegać. Dlaczego zresztą kultura miałaby „chodzić” na zgoła innych prawach niż rzeczywistość, która ją rodzi? Odbiorca nie zna i zapewne nie musi znać trudności, jakie nieustannie trzeba pokonywać, by placówka kulturalna możliwie egzystowała.

Do tradycyjnie dolegliwego braku kadr — mówię o tzw. prowincji — i to kadr wszelkich, dołączył ostatnio a niespodziewanie ostry brak pieniędzy. Nie może się to nie odbić na poziomie tworzonych przez kulturę wartości, czy stopniu ich upowszechnienia, aczkolwiek zależność między pieniądzem a dziełem sztuki nie zawsze jest prosta i oczywista.

Wszystko to skłania do poszukiwania sojuszników, których wsparcie mogłoby poprawić nienajlepszą obecnie kondycję zagubionych nieco pracowników kultury i dlatego tak niezwykle ważna i potrzebna jest teraz — powtarzam to raz jeszcze — podwyższona temperatura najbliższego otoczenia: widzów, pras, środowisk opiniotwórczych, lokalnej władzy. To właśnie kultura umożliwia nam — jednostkom i zbiorowości — świadome i sensowne trwanie; w trudnym dla niej czasie trzeba i jej pomóc przetrwać.

doc. dr hab.,

— KAZIMIERZ BARTKIEWICZ
rektor WSP w Zielonej Górze

W moim myśleniu o Polsce, jako jej obywatela i zarazem zielonogórzanina, związanego swoją działalnością głównie z edukacją szkolną i nauką, przedmiotem szczególnego z troską jest obecna trudna sytuacja kadrowa w oświacie. Jako przedstawiciel miejscowej uczelni kształcącej nauczycieli ubolewam nad tym, że od poważnego deficytu odpowiednio kwalifikowanych kadr nauczycielskich i wynikającej stąd konieczności zatrudniania osób do pracy w szkole nieprzygotowanych, w ogóle doszło, a dojsz nie musiało. Sytuacja ta ma w poważnej mierze charakter subiektywny: zmniejszenie liczby godzin dydaktycznych nauczycieli;

„wybuch” możliwości przejścia na emeryturę po 30 latach pracy; okresowe zmniejszenie liczby uczniów w oddziale szkolnym do 25 osób; niepewna podstawa ustalania wysokości emerytur; niepodjęcie prac w szkole przez część absolwentów szkół wyższych bądź przechodzenie kadr kwalifikowanych do innych zawodów; spowodowane głównie niskim wynagrodzeniem i brakiem mieszkań Głęboke przemyslenie; pomyślnie rozwiązanie nabrzmiałych spraw polskiej oświaty, w tym oświaty środkowego Nadodrza, to równocześnie — jak sądzę — znalezienie klucza do wielu nurtujących nas obecnie problemów społecznych i wychowawczych. Zielonogórska WSP, którą w ciągu 15 lat jej istnienia opuściło blisko 7000 absolwentów, podejmuje już i jest gotowa podejmować kolejne, nowe, zwiększone zadania związane z kształceniem wysoko kwalifikowanych kadr nauczycielskich. Obecnie jednak musi ona sama pokonać szereg barier dalszego własnego rozwoju (brak mieszkań dla nauczycieli akademickich, miejsce stołowych, a także odpowiednich pomieszczeń dydaktycznych). O wszystkich tych sprawach myślimy w uczelni. Nie poddajemy się trudnościom. Problemy przekraczające nasze własne możliwości przedkładamy władzom miejskim, wojewódzkim, ministerialnym, gdzie znajdujemy zrozumienie i pomoc.

doc. dr hab.,

— JOACHIM BENYSKIEWICZ
pracownik naukowy WSP
w Zielonej Górze

Powszechną krytykę — przy rozmaitych okazjach — wzbudza system wychowawczy preferowany ostatnio na wyższych uczelniach. Spotyka się z częstym potępieniem bezideowości młodzieży, brak poszanowania istotnych racji społecznych, czy wręcz narodowych, cynizm, wszelkiego rodzaju wulgaryzmy oraz wszystkie inne negatywne cechy, bliskie już patologii.

W różnych gremiach dyskutowane są te problemy i najczęściej antidotum widzi się we właściwej pracy różnych organizacji młodzieżowych, których roli bym nie fetyszyzował. W poważniejszym zakresie problem występuje w uczelni kształcącej przyszłych nauczycieli. Sprowadza się on w pierwszym rzędzie do systemu rekrutacji na studia nauczycielskie. Polskie szkolnictwo w ramach istniejących podziałów jest jakby hermetycznie zamknięte. Szkolnictwo podstawowe pracuje dla siebie podobnie jak średnie i wyższe; bez próby określenia wychowawczej drożności między nimi. Z rozmów z nauczycielami wynika, że już w szkole podstawowej trafiają się wybitnie uzdolnione jednostki o zacięciu pedagogicznym, objawiające nadto zainteresowanie kołami, przedmiotowymi czy pracą społeczną. A opinia o postępie ucznia w szkole podstawowej rzadko trafia przed oblicze komisji rekrutacyjnej. Natomiast opinie o kandydacie na wyższe studia ze szkół średnich są najczęściej ugięte, standardowe.

Część kandydatów na studia nauczycielskie nie kieruje się szczególnym sentymentem do zawodu nauczyciela. Swego czasu mówiło się, że decydowała tzw. selekcja negatywna. Niski jeszcze prestiż zawodu nauczyciela jest jednym z powodów, że wyższe szkoły pedagogiczne nie są uczelniami wysoko cenionymi.

Pragnę tu sformułować ogólne wnioski, które, ze względu na istotne cele kształcenia i wychowania, powinny w przyszłości być wzięte pod uwagę. Po pierwsze — pozostając raczej poza sferą działania szkolnictwa, troska o wzrost prestiżu zawodu nauczyciela. Konieczne są tu rozwiązania systemowe i materialne. Nie może natomiast być miejsca na działanie pozorowane, tak często obserwowane w naszej polityce społecznej. Po drugie — należy stworzyć spójny system rekrutacyjny do zawodu nauczycielskiego. I po trzecie — należy studentów już na I roku poddać bardziej skutecznym wpływom wychowawczym, gdyż od nawyków i przyzwyczajenia nabytych w początkach studiów — bardzo często zależy dalszy, skuteczny proces dydaktyczno-wychowawczy.

RYSZARD BUCHOLSKI

— pedagog, prezes

Nowosolskiego Towarzystwa Kultury

Przemysł wyciska swe piętno na życiu w Nowej Soli. Ale przemysł — to nie tylko produkcja czy zaspokajanie potrzeb materialnych, głównie robotniczych rodzin. U podstaw postępu w produkcji leży kultura pracy. Potrzeby materialne są w dużej mierze stymulowane poziomem kulturalnym środowiska, skalą wartości, stylem życia zbiorowego. Stąd już tylko krok do stwierdzenia, że szeroko pojęty poziom cywilizacyjny warunkujący rozwój społeczeństwa zależy m.in. od rozbudzenia potrzeb kulturalnych, ukształtowania ideału kulturalnego życia na co dzień, w pracy, w rodzinie, w czasie wolnym.

Przejawem dążenia do postępu cywilizacyjnego jest kultura przedmiotów, często prymitywny i powierzchowny. Być może przysłowiowy „Jelen na rykowisku”, czy wystawiony za szybą komplet „złoczonych” filiżanek, od przywaciarza, jest nieodłącznym etapem kształtowania się poziomu kultury społecznej? Wszak i tu przejawia się troska o zaspokojenie potrzeb wyższego rzędu — potrzeb estetycznych.

— W lipcu 1982 roku pod takim właśnie tytułem opublikowaliśmy rozmowę z członkami najwyższego gremium partyjnego oraz pierwszymi sekretarzami gorzowskiej i zielonogórskiej instancji wojewódzkich. W tej rozmowie, której dominującym wątkiem była sytuacja społeczeństwa a w tym przecież również i partii, jaka istniała rok po IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR, braliśmy również i Wy, towarzyszu Andrzej, udział. Dziś nadal jesteśmy i sekretarzem w świebodzińskiej „Eltermie”, ale jesteście już bogatsi o doświadczenia, jakie zdobyliście jako członek KC, no i macie mandat delegata na X Zjazd. Czasami słyszy się głosy niepokojów, zwłaszcza ze strony ludzi obserwujących trudną drogę realizacji uchwał IX Zjazdu, a zwłaszcza złą sytuację gospodarczą kraju, czy aby nie nastąpiło samouspokojenie w centrum, czy aby X Zjazd nie będzie przypominał VIII Zjazdu, a za kilka lat XI Zjazd — IX Zjazdu?

Ta sama a jednak inna

Rozmowa z Andrzejem Styczyńskim
członkiem KC PZPR mijającej kadencji,
delegatem na X Zjazd PZPR

— Dziękuję za przypomnienie naszego spotkania przed laty i teraz, na wstępie muszę stanowczo zaprzeczyć przeciwko takim opiniom. Nie zapomnieliśmy przecież o dramatycznych wydarzeniach w naszej historii, mamy tzw. Raport Ku biaku i jesteśmy świadomi odpowiedzialności za dalszy właściwy rozwój kraju, choć sytuacja gospodarcza jest rzeczywiste zła...

— Społeczeństwo interesuje, jak pracował KC pomiędzy Zjazdami, a więc co robili członkowie najwyższych władz partyjnych, wyłonieni z woj. zielonogórskiego.

— Ja mogę powiedzieć o swojej pracy. Pracowałem w dwóch komisjach: do spraw młodzieży, bo byłem wówczas jeszcze młodszym, oraz — w komisji organów samorządowych. Pracowaliśmy solidnie i często spotykaliśmy się w gronie towarzyszy z Sekretariatu i Biura politycznego w celach konsultacyjno-informacyjnych. Na tych spotkaniach omawialiśmy przygotowania do każdego następnego posiedzenia plenarnego Komitetu Centralnego, sytuację społeczno-polityczną kraju, dyskutowaliśmy nad informacjami poszczególnych ministrów, ale przecież także mieliśmy zawsze okazję do wypowiedzenia własnych opinii i zaprezentowania spraw, którymi żyła nasza województwo, nasze zakłady pracy. Każde takie spotkanie kończyło się zwykłym na posiedzeniu Biura Politycznego, gdzie zarówno I sekretarz KC jak i inni towarzysze analizowali poruszone przez nas problemy i ustosunkowali się do nich. W sumie — była to bardzo rozbocza kadencja władz centralnych.

— Czy tak też było przed IX Zjazdem partii?

— Trudno mi na to odpowiedzieć, ale jestem przekonany iż IX Zjazd można nieco porównać do VIII Zjazdu, do jego nurtu krytycznego. Z tym, że wtedy nie zostały wyciągnięte właściwe wnioski. Gdyby tak uczyniono chociaż w części, nie doszłoby z pewnością do dramatycznych późniejszych wydarzeń, bolesnych dla całej partii. Był to z pewnością najbardziej dramatyczny zakręt dla naszej partii, wyrażający się chociażby w masowym odchodzeniu z jej szeregów. A przecież i klasa robotnicza odwróciła się w pewnym momencie od naszej partii, tych doświadczeniach trzeba stać się pamiętać.

— Jaka jest obecnie sytuacja w partii, przed X Zjazdem?

— Jest nas ponad 2.100 tysięcy. Mamy świadomość, że wielu cennych ludzi opuściło nas, ale wielu też odeszło, którzy nie powinni być w partii. Przecież w latach siedemdziesiątych był kurs na masowy nabór ludzi w szeregi partii. Wiele teraz winniśmy być wyczuleni na jakość naszych członków. Inna sprawa, że ja odczuwam pewien niedosyt i świadomość, iż nie zdołaliśmy zrealizować tego wszystkiego, co zapisywaliśmy w uchwałach plenarnych posiedzeń KC. Ot, choćby w zakresie młodzieży i polityki kadrowej. O tych uchwałach nieraz wielokrotnie dyskutowaliśmy. Dlaczego ich nie zrealizowaliśmy? Były i są różne przyczyny, np. określona sytuacja wśród młodzieży, w organizacjach młodzieżowych. I te sprawy powinny być raz jeszcze rozpatrywane już podczas następnego kadencji.

— Na nastroje społeczno-polityczne i stan partii ma niewątpliwie ogromny wpływ nienajlepsza sytuacja gospodarcza kraju.

— Mówiłem już o tym, że jest ona niezadowalająca. Choć przecież robimy wszystko, aby tę sytuację poprawić. Ale przecież odczuwamy bardzo dotkliwie nasze zadłużenie wobec zagranicy, choć uważam, że nie jest ono tak wielkie jak na tak duży naród, tylko trzeba znaleźć jakieś bodźce do wzrostu wydajności pracy. A takich bodźców jest ich brak. Wiele ludzi lekceważy jakość i wydajność pracy, brakuje entuzjazmu, który kiedyś przejawiał się w naszym narodzie. Muszą więc być bodźce i ludzie muszą wiedzieć, za ile, za co mają dobrze pracować.

— Dochodzimy tu jakby do istotnego problemu porozumienia narodowego.

— Kierownictwo partii wiele zrobiło na rzecz porozumienia narodowego. Na rzecz przyciągnięcia do tej idei ludzi bezpartyjnych i wierzących. I to winno po X Zjeździe przynieść dobre efekty. Wzrosło zaufanie do partii, jej polityki.

— X Zjazd będzie obradował w innych, spokojniejszych warunkach niż IX. Będzie zapewne mniej nerwowej atmosfery, z dystansu oceni się tych kilka ostatnich lat...

— Oczywiście, tak na pewno będzie. Dokonałymi gruntownych przygotowań, bilansując straty i osiągnięcia. Będzie obradować w 14 komisjach problemowych, ja będę uczestniczył w zespole do spraw handlu zagranicznego i eksportu, przecież pracuję w zakładzie, który w tej dziedzinie ma swoje osiągnięcia.

— Myślę, że do przebiegu i uchwał X Zjazdu powrócimy jeszcze w osobnej rozmowie. Obecnie, towarzyszu Andrzej, chciałbym nawiązać do Waszych uwag, wypowiedzianych podczas wspomnianej na wstępie dyskusji, a dotyczących sytuacji w samej „Eltermie”. Mieliście wówczas kłopoty z brakiem stabilizacji społeczno-politycznej wśród załogi, podburzanej przez grupę polityków. Odzywały się echa Głinska i lubogórskiego strajku. Potem zabrakło zwartych związków zawodowych, nadal budziła niepokój postawa wielu młodych ludzi...

— Wiele doświadczyłem, wiele się nauczyłem...



Andrzej Styczyński: — Wiele doświadczyłem, wiele się nauczyłem...

FOT. CZESŁAW LUNIEWICZ

— Wpierw trzeba sobie uświadomić, iż pomimo wielu pitięzących się trudności nasza partia realizuje reformę gospodarczą, przeprowadziła dwie ważne kampanie wyborcze, zrodziła się nowy ruch związkowy, powstały samorządy pracownicze. I z tego zdaje sobie sprawę załoga „Eltermy”. Jeśli chodzi o związki zawodowe, to przed sierpniowym kryzysem wszyscy należeli do związku metalowców, a później dopiero — już po podpisaniu tych wszystkich porozumień — powstała „Solidarność”, początkowo jako związek zawodowy, który później przy pomocy Zarządu Regionu w Zielonej Górze, zaczął się przekształcać w ruch polityczny, opozycyjny. Ja po przyjeździe z IX Zjazdu zastałem w zakładzie atmosferę zaciętrze-

— Wiele doświadczyłem, wiele się nauczyłem...

— Czym były dla Was osobiste, towarzyszu Andrzej, te ostatnie trudne lata?

— Wiele doświadczyłem, wiele się nauczyłem, starałem się być aktywnym, kołem życia rodzinnego. Wiele zawdzięczam towarzyszom ze świebodzińskiej organizacji partyjnej oraz instancji wojewódzkiej, a także — mojej wyrozumiałej żonie.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
ZENON LUKASZEWICZ

BUTY POD RZĄDOWYM NADZOREM

Ryszard Rowiński

Skóry, tkaniny, kleje roślinne i kau-
czukowe, nici, klamerki, poliuretan, po-
lichlorek winylu, co tam jeszcze, skia-
dają się na but. W dziecięcym obuwiu
noga nie może stykać się bezpośrednio
z tworzywami sztucznymi... A jak cze-
goś zabraknie, buta po prostu nie ma.
Zaczyna się wymuszanie na pracowni-
kach urlopów, a gdy już zostają wy-
czerpane, płaci się za nierobienie
czyli za postoje. Następuje obniżenie
dyscypliny pracy, jej jakości. Skutki
arytmii pracy dają o sobie znać na-
wet wtedy, gdy wszystkie komponenty
składające się na but, są na miejscu.

W porównaniu z pierwszym kwarta-
łem roku ubiegłego, w ciągu trzech pier-
wszych miesięcy roku bieżącego, prze-
staje wzrosły o 12 tysięcy godzin, awa-
rie maszyn 2,5 raza, brak materiałów
o 3 tysiące procent! W ciągu 4 mie-
sięcy bieżącego roku w Lubuskich Zak-
ładach Obuwniczych „Carina” do wy-
konania planu zabrakło 92 tys. par obu-
wia, za 60 milionów złotych, chociaż
plan stycznia wykonany został w 115
procentach.

Obecnie brakuje polwiplastu. Bez
niego też nie można robić butów. Pol-
wiplast produkuje się w zakładach che-
micznych — w Pionkach, albo w Krup-
skim Młynie — tak jak „Carina” nale-
żących do tego samego Ministerstwa
Przemysłu, Chemii i Lekkiego. Pol-
wiplastu nie ma, bo brak było składni-
ków z importu. Teraz podobno również
komponentów pochodzenia krajowego.

— Co się robi?
— Informuje się o braku polwiplastu
organ założycielski czyli Ministerstwo,
oraz Komitet Wojewódzki PZPR. Kom-
itet Wojewódzki informuje o groźbie
zatrzymania produkcji Komitet Central-
ny PZPR. Z takich alarmistycznych in-
formacji pozostaje uogólnienie, uogól-
niające sytuację gospodarczą kraju:
jest złozone, trudna...

Codziennie rano odbywa się w „Car-
inie” narada, na której decyduje się,
co — biorąc pod uwagę posiadane su-
rowce — będzie produkowane w ciągu
dnia. Bywa, że ustalenia z godziny siód-
mej rano przestają być aktualne o go-
dzinie jedenastej. Kiedyś zmieniano
wzory wytwarzanego obuwia dwa, trzy
razy w ciągu miesiąca. Obecnie czyni
się to w ciągu tygodnia. I to bynaj-
mniej nie z powodu kaprysów rynku.
Robi się to, co robić można. Potem szu-
ka się instytucji handlowych, które to
kupują i zaliczą do dostaw. Są woje-
wódzkie Przedsiębiorstwa Handlu We-
wnętrznego, z którymi można się dog-
dać w atmosferze harmonii i wzajemne-
go zrozumienia. Ich życie też przypie-
ra do muru. Organizują jarmark, któ-
ry odniesie sukces, jeśli na stoisku bę-
dzie określony wzór obuwia dziecięce-
go z „Cariny”. A „Carina” stanie na
głowie, aby te 2 tysiące par — dla
podtrzymania harmonii i zrozumienia,
wyprodukować.

Obok kadry kierowniczej najbar-
dziej zapracowanymi ludźmi w „Car-
inie” są mechanicy. — Części zamienn-
nych z importu nie ma i nie bę-
dzie! Musimy sobie radzić! zajmujący
się przedstawianiem taśm na wzory wy-
muszone stanem magazynów surow-
ców. Pracują po 16 godzin na dobę, cho-
ciaż takimi pracownikami — groszoro-
bami wcale nie chcą być! Jedni czeka-
ją na zajęcie, inni zapracowani są po-
nad miarę, ponad wszelkie dopuszczalne
normy i przejawy, ponad rozsądek. By-
wa i tak, że by w imię utrzymania ru-
chu fabryki, dać pracę prawie 2 tysią-
com ludzi, wbrew surowym zakazom
Ministra Komunikacji, wysłać trzeba
ciężarowego „Stara” na drugi koniec
Polski po 50 kilogramów kleju.

„Carina”, mimo czarnego obrazu obe-
cnej codzienności produkcyjnej, w dra-
matycznej sytuacji, odbijania się od
ścian konieczności, jest bardzo dobrą
fabryką! W 1979 roku zatrudniała 1891
pracowników produkowała ponad 26
mln par obuwia. W 1986 roku, zatrud-
niając 1980 pracowników, zamierza wy-
produkować 3,9 mln par obuwia dzie-
cięcego. Od 1979 roku — przy ustabiliz-

zowanym stanie załogi (co 4 rodzina w
Gubinie jest związana pracą w „Car-
inie”), stale, poza drobnym wahnięciem
w 1981 roku, stale i systematycznie
zwiększała produkcję. Obecnie, w po-
równaniu z 1979 rokiem, na 1 pracow-
nika produkcja wzrosła o 560 par obu-
wia dziecięcego. Wydajność pracy wzro-
sła się prawie o 30 procent. Świad-
czy to o ogromie prostych rezerw pro-
dukcyjnych, uruchomionych przez wpro-
wadzenie zasad reformy gospodarczej.
Na plenarnym posiedzeniu Komitetu
Wojewódzkiego PZPR w Zielonej Gó-
rze, dyrektor przedsiębiorstwa Opara
był tym działaczem gospodarczym, któ-
ry w sposób jednoznaczny opowiedział
się za reformą gospodarczą. Branżę obu-
wniczą podał jako wzór samofinanso-
wania dewizowego. Ten dewizochłonny

przemysł posiada ambiciozalne bodźce
do zwiększania eksportu, którego wiel-
kość nie powinna zadowalać nikogo.
Wartość produkcji „Cariny” — obje-
tej zamówieniami rządowymi, a co za
tym idzie, również cenami regulowanymi,
wyniosła w roku 1985 ponad 2,1
mld złotych. 20 procent produkcji po-
zło na eksport do Związku Radzieckie-
go i Republiki Federalnej Niemiec. Eks-
port ten jest opłacalny, nawet w świe-
tle obecnie obowiązujących przepisów,
i gdyby nie potrzeby polskich dzieci,
mogły on być znacznie większy —
dający w miliony par. Znak firmowy
„Carina” ma dobrą opinię w kraju i za
granicą.

Co osiąga branża obuwnicza z eks-
portu? Również „Carina” — jak pozos-
tałe fabryki tej branży — nie może
wykorzystać swoich środków dewizo-
wych na sprowadzenie niezbędnych czę-
ści zamiennych i surowców. Pieniądże
są — 80 milionów dolarów — ale prakty-
cznie ich nie ma.

Zwolennicy reformy gospodarczej w
Gubinie — postulując stałe doskonalenie
jej zasad — popierają się nie tylko
dla tego, że ujawnione zostały rezerwy
rosto, co było przyczyną dużego wzro-
stu wydajności pracy, ale również dla-
tego, że stworzyła ona załogę, dyrek-
cję, radzie robotniczej, perspektywę
wpływania na rozwój fabryki. Na miej-
scu decydować można o inwestycjach
Włoska wtryskarka, za ćwierć miliona
dolarów uzyskanych od ministra Han-
dlu Wewnętrznego, pozwoliła mocno
zwiększyć produkcję. Druga taka wtrys-
karka oczekiwana jest w tym roku.

Reforma pozwoliła częściowo, za wła-
sne środki, rozwiązywać kwestie zale-
głe: rozbudowę magazynów, powiększa-
nie powierzchni produkcyjnej, ulepsza-
nie bazy sanitarnej i socjalnej. Jest to
widoczne gołym okiem. „Carina” nie
tylko z powodów statystycznych jest
największym zakładem produkcyjnym
w nadgranicznym 17 tysięcznym Gubi-
nie. Z bazy socjalnej „Cariny” — żłob-
ka, przedszkola, basenu z podgrzewaną
wodą, przychodni lekarskiej, nawet sto-
łówki korzysta miasto. Korzysta ono
bądź z hali widowiskowo-sportowej,
budowanej przez „Carinę”.

Rzeczywistość ekonomiczna kraju,
braki tak bardzo utrudniające normal-
ną działalność produkcyjną — życie na
co dzień, albo inaczej — diabeł uloko-
wany w szczegółach, pozornie przekre-
ślają zasady reformy gospodarczej, a
przynajmniej przypierają ją do muru.



„w butach małych i dużych...”

Fot.: CZESŁAW ŁUNIEWICZ

O POLSCE myśląc

dr WIESŁAW HŁADKIEWICZ
— historyk, politolog
w Zielonej Górze

Wiek XX znać można za wiek największego w historii przyspieszenia roz-
woju nauki. Świadczy o tym szybki postęp poznawczy wielu dyscyplin nauko-
wych (w tym także nauk społecznych), wzrost liczby kadr zatrudnionych w nau-
ce oraz coraz większe nakłady finansowe i rzeczowe przeznaczone przez pań-
stwa na badania naukowe.

Jednocześnie — do przeszłości, do lamusa historii, odchodzą już czasy pow-
szechnej fascynacji społeczną nauką i uczyńmi, w sensie XIX-wiecznej inter-
pretacji tego problemu. Coraz bardziej uzasadnione społecznie staje się pytanie:
komu i czemu służą konkretne badania naukowe? W tym kontekście niepokoić
muszą przekonania i postawy tych pracowników naukowych, którzy odrzucają
scjentystyczne koncepcje nauki i jej ahistoreczny stosunek do świata i ludzkich
wartości.

Nie ma czystej nauki, nie ma nauki nie związanej z określoną ideologią spo-
łeczną. Nauka to nie dobro samo w sobie. Nauka winna służyć potrzebom pań-
stwa i społeczeństwa. Uczony to nie kapłan, a jego miejsce pracy to nie labora-
torium alchemika. Nauka nie może mieć czysto instrumentalnego charakteru. To
żywa materia, która podlega nieustannym przeobrażeniom i weryfikacjom, za-
równo teoretycznym jak i metodologicznym.

Uczony zatem, jeśli ma pozostać wierny swym zawodowym ideałom, nie mo-
że jedynie oceniać skuteczności i racjonalności nauki w sensie technicznym, in-
strumentalnym, ale przede wszystkim w sensie humanistycznym, społecznym i
ideologicznym: „Wmawiano nam wszystkim — jak wyznali polscy uczeni, Wio-
dzimierz Zonn — że nauka musi być apolityczna, społeczna ba, musi być czymś
poza — lub nawet ponadludzkim”.

Aż strach pomyśleć, cytując tę wypowiedź, co by było, gdyby uczeni posłu-
chali namów scjentystów — zwolenników wąskiego empiryzmu czy też apologet-
ów hasła „Nauka jest religią”, czy wreszcie uznali za jedyną busolę teoretyczną
i metodologiczną pozytywizm logiczny twórców Koła Wiedeńskiego. Gdzie tu
bowiem miejsce na filozoficzną i aksjologiczną stronę i oblicze nauk społecznych.

Obraz współczesnej nauki jest zupełnie inny. Do przeszłości odchodzi uczeni
— hobbysta samotnie i na własną rękę prowadzący swoje dociekania teoretyczne
i badania empiryczne. Uczni przeniesli się ze swych prywatnych pracowni do
wyspecjalizowanych laboratoriów i instytucji badawczych. Nauka stała się de
facto instytucją społeczną. Naukowiec pracuje dzisiaj nie w ogóle w nauce, a w
określonej instytucji finansowanej przez określonego sponsora.

Współczesny naukowiec stoi ponadto przed nieuniknionym realnym wyborem.
Musi się opowiadać za określoną ideologią i ustrojem społecznym. Staje przed
takim wyborem, jeśli pragnie świadomie podjąć decyzję dotyczącą orientacji me-
todologicznej w realizowanym przez siebie procesie badawczym. Dzisiaj w ustroju
socjalistycznym standard walki o wartości humanistyczne, społeczne i w swych
dionizach klasa robotnicza, której ideologią jest marksizm-leninizm. Dziś par-
tyjni naukowiec to marksista w jak najlepszym tego słowa znaczeniu.

Lecz proces wdrażania marksizmu-leninizmu do polskich nauk społecznych
oraz do całego życia społecznego nie jest procesem prostoliniowym i jednokierun-
kowym. Tendencja do umacniania jego pozycji i rozszerzania zasięgu towarzy-
szyła nadal tendencja do jego spychania, deformowania i wypukiwania ze społecz-
nej świadomości obywateli przez niektórych uczonych. Taki stan rzeczy nie może
mieć miejsca.

Jestem przekonany, że X Zjazd PZPR również i te kwestie podejmie. Nie ma
bowiem przed nami innej drogi, jak kierunek na postęp, innowacje i ścisły
związek teorii z praktyką.

dr JAN MUSZYŃSKI
— historyk sztuki,
dyr. Muzeum Ziemi Lubuskiej
w Zielonej Górze

Swe uwagi o szansach i zagrożeniach muzealnictwa odnoszę do całego kraju.
Dostrzegam pewnego typu peryferyzację działalności muzealniczej. Wyraża
się to brakiem kontaktów merytorycznych i organizacyjnych pomiędzy służbami
muzealnymi w kraju. Nie przepływają też właściwie informacje o działalności
poszczególnych placówek. To zagrożenie może narastać aż do prowincjonalizacji
poczynu. Stanem zagrożenia rozwoju placówek muzealnych jest też brak kon-
taktu z muzealnictwem zagranicznym. Uderza uboga infrastruktura techniczna.
Należy już w tej chwili nawiązywać kontakty z firmami produkującymi wideo-
kasety i aparaturę wizyjną, umożliwiającą realizację programu oświatowego.

Najpoważniejszym problemem jest stałe obniżanie dotacji: ta sama wysokość
środków finansowych, co w latach ubiegłych, przy stałej inflacji, zubaża możli-
wości zakupów muzealnych i prowadzenia remontów bieżących.

Niepokój budzi zagrożenie pożarowe placówek muzealnych i rzadko realizowa-
ne plany ochrony dóbr kultury przed kradzieżą. Niska jest świadomość, że mu-
zea są magazynem wartości wymiernych w złotychkach; że grabież kultury naro-
dowej, czy dewastacja godzi w najtrudniej wymierne bogactwo narodowe.

W czasie „bylejałości” wszelkich działań poligraficznych należy dołożyć wie-
le starań, aby nadal wydawać rzeczy dobre i poprawne. Mniej tego typu przed-
sięwzięć, lecz o zwiększonej uwadze, dotyczącej estetyki wydawnictw, może być
na razie jedynym wyjściem z poważnego zagrożenia muzealnej działalności wy-
dawniczej.

W nowoczesnym muzealnictwie ważną rolę spełnia teoria w zakresie groma-
dzenia zbiorów oraz ich eksponowania, którą musi zweryfikować praktyka. I du-
pięro w takich warunkach należy podejmować próby określenia teoretycznego
modelu pewnej specjalizacji. Taka próba nie rodzi się z dnia na dzień. Już w tej
chwili muzealnicy są skłonni przyznawać słuszność tendencji, która wyraża się
ekspozycją w wybranym temacie, problemie, czy zagadnieniu. Tylko w ten spo-
sób muzeum może być obecne w interpretacji sztuki i kultury naszego kraju.

Coraz wyraźniej dostrzega się konieczność zróżnicowania plac i przywilejów
w odniesieniu do pracowników utalentowanych, zaangażowanych, zdobywających
w sposób systematyczny wykształcenie i identyfikujących się z instytucją, w
której pracują. Szansą dla muzealnictwa jest także otwarta polityka resortu kul-
tury. Istotne w pracy muzeum są oceny dokonywane przez Zarząd Muzeów i
Ochrony Zabytków w wyniku oceny konkursowej, za najciekawsze wydarzenia
muzealne roku. Należy jednak z tej wartości uczynić pewnego rodzaju konkretną
korzyść dla placówki dobrze pracującej.

Ważne dla lepszego zrozumienia idei ochrony dóbr kultury jest utworzenie
przez różnego typu instytucje zakładowych izb muzealnych, propagujących wie-
dę o „najbliższym warsztacie pracy” jako wartości wychowawczej. Tworzy się
w ten sposób naturalną więź między teraźniejszością a historią zakładu, wiedzę
o nim. Jest to szansą powszechnego zrozumienia i szacunku do gromadzonych
dóbr kultury.

Ukazywanie w pracy muzealnej głębokich związków z historią naszego naro-
du i jego kulturą jest podstawowym i statutowym obowiązkiem działalności mu-
zealnej. W dziedzinie natomiast upowszechniania kultury i nauki każda inicjaty-
wa społeczna należy traktować jako drogowskaz w zakresie zapełnienia tej próż-
ni, która dla społeczeństwa stała się dolegliwością.

